Nr. 34. We Lwowie dnia 20. Sierpnia 1899. Rok 7.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

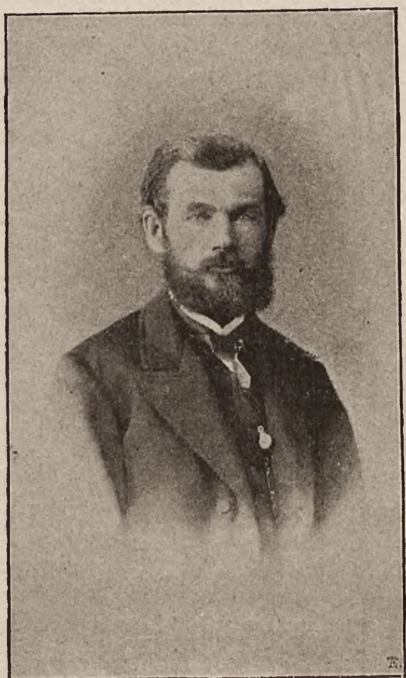
pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Władysław Kozłowski.

Władysław Kozłowski, zgon którego nastąpił dnia 9. sierpnia 1899 r., urodził się w Żytomierzu 1832 r. z ojca Stanisława, z matki Zuzanny z domu Koszczyńskiej.

Ojciec Władysława był zmuszony po powstaniu 1831 r. porzucić wieś i rolę, przeniósł się więc do miasta, założył księgarnię w Berdyczowie, a później w Żytomierzu i pracując w tym zawodzie, starał się utrzymać liczną rodzinę, co jednak szło z wielkim oporem, stąd też żona jego i on sam, a później i dzieci pracą w innych, różnych kierunkach prowadzoną dopełniać musieli braki, często bardzo dotkliwie uczuwać się dające w funduszach. I tak ś. p. Władysław, już od klasy piątej zarabiał korepetycjami i lekcjami prywatnemi na własne utrzymanie.

Życie całej rodziny było bardzo skromne, na wpół miejskie na wpół wiejskie, mieszkali bowiem prawie za miastem, w dworku, otoczonym zielenią sadu i ogrodu warzywnego, w którym uprawiano rozmaite warzywa dla siebie i na sprzedaż. Matka i siostra skupiały w sobie wszystkie promienie życia domowego, ku nim zbiegały się myśli i uczucia każdego z członków rodziny. Władysław nie mógł nigdy wspominać o tych aniołach stróżach swego niemowlęctwa i lat dziecięcych bez rozrzewnienia, a zawsze mówił o nich z głębokiem uczuciem uznania dla skromnej, cichej ich pracy, mającej na celu dobro rodziny. Śmierć jednej i drugiej wywołały w nim ciężko przebyte burze moralne, były nawet chwile tak pełnej bezbrzeżnej boleści, jak mi opowiadał, gdy bawiąc w Paryżu na emigracji, dowiedział się o zgonie siostry ukochanej, że wtenczas nie sądził, by tę stratę przeżyć potrafił. Towiańczycy, z którymi często obcował, gdy go widzieli, w szale rozpaczy i zwątpienia, pocieszać go chcieli, upewniając, że Bóg powołał do siebie siostrę umiłowaną, ażeby brata doświadczyć w stałości i wierze, a zaś w nagrodę za przyjęcie z pokorą i bez szemrania wyroku najwyższego miały go czekać wieczne szczęśliwości w życiu przyszłem. Te niedorzeczne pocieszania tak silnie oburzyły ś. p. Władysława, że odtąd zerwał wszelkie z Towiańczykami stosunki.— Miłość rodziny, kraju, ojczyzny, a dopiero potem wszechczłowieczeństwa stanowiły tło duszy Władysława, żadne teorje kosmopolityczne nie trafiały nigdy do jego przekonania. Pamiętam, gdy jednemu z młodych socjalistów naszych wypowiadał swoje przekonanie, odnośnie do tej kwestji, to wyraził się w ten sposób „przez miłość rodziny i kraju, prowadzi droga do miłości ojczyzny, przez miłość tej ostatniej ku możności ukochania ludzkości całej i wszechświata“. Potrafić ko-



Z fotografji zdjętej w Konstantynopolu r. 1864.

chać ludzkość, nie umiejąc miłować ojczyzny i rodziny, jest rzeczą niemożebną. Altruizm ma swoje stopnie rozwojowe, przeskoczyć ich nie może, tak dobrze osobnik, jak i społeczeństwo.

S. p. Władysław w wieku dziecięcym i chłopięcym był słaby, chorowity; dopiero w trzecim roku życia mówić począł, już bardzo wcześnie chorował na oczy. Matka leczyła go środkami domowemi, bo żadnego okulisty nie było w Żytomierzu, a zwykli, ówcześni lekarze chorobami oczu nie zajmowali się wcale; z pomiędzy lekarstw, wówczas używanych, wraziły się w pamięć Wł. „maść Buchnera“ i „kamień siny“. Cierpienia oczne wzmagały się z wiekiem przeszły następnie w stan perjodyczności chronicznej, a zapalenie tęczówki, powtarzające się co kilka prawie miesięcy, pozbawiło go przynajmniej połowy żywota na ziemi i zatruło resztę życia ciągłą obawą przed powrotem cierpień dokuczliwych, zaledwie na chwilę tylko usuwanych przy pomocy leczenia. Cierpienia te tak dokuczały Wł., że często mówił, iż jednej rzeczy zazdrości tylko ludziom w świecie, mianowicie oczu zdrowych, a zazdrość ta datowała się już od czasów gimnazjalnych, bo wspominał parę razy, że gdy patrzał, malcem będąc, na tablicę marmurową, zawieszoną w auli gimnazjalnej w Żytomierzu, gdzie literami złotemi było wypisane nazwisko Zygmunta Sierakowskiego, który ukończył gimnazjum z medalem złotym, to nie zazdrościł mu chwały „primusa“, lecz tylko jego wzroku, niezmiernie bystrego; podanie bowiem o Zygmuncie głosiło, że mógł czytać druk książkowy zwyczajny po przez całą długość auli rzeczonej w Żytomierzu.

Słabość wzroku i częste cierpienia oczne były powodem, że już w gimnazjum był zmuszony ograniczyć godziny czytania, to też uczyć się musiał lekcji przeważnie ze słuchania, gdy mu je czytali inni, pomimo to jednak zdolnościom swo.m zawdzięczał, że z klasy do klasy przechodził z tak zwanymi „listami pochwalnymi“ i ukończył gimnazjum z „atestatem“, czyli ze świadectwem, uprawniającem do rangi, wstępujących do służby rządowej, kancelaryjnej.

Po ukończeniu gimnazjum wstąpił Kozłowski do uniwersytetu kijowskiego i zapisał się na medycynę, nie długo jednak słuchał kursów medycznych, przekonawszy się bowiem, że nie będzie mógł pokonać wstrętu do zajęć anatomicznych i chirurgicznych, prosił o pozwolenie przejścia na inny wydział, a gdy mu tego odmówiono, gdyż wtedy istniał rozkaz najwyższy, wzbraniający zmiany studjów medycyny, przeniósł się do Żytomierza i tam wstąpił do „kancelarji gubernatorskiej“.

W stolicy Wołynia panował podówczas samowładnie znany despota-generał Sinielników, ten mąż stanu był postrachem dla wszystkich urzędników, od burmistrza („Gorodniczyj“) poczynając, a kończąc na djurnistach i kancelistach. O próbach ogniowych, jakie przechodzić musiał każdy z nowozaciężnych, młodych kancelistów w kancelarji gubernatora, opowiadał mi nieraz ś. p. Władysław. Jednę z takich prób przytaczam tutaj, a to w celu, ażeby dać pojęcie o piekielnej służbie czynowniczej, jaką ona była jeszcze w owych czasach.

Płaca dla wstępującego kancelisty wynosiła 5 r. miesięcznie, czyli po 32 groszy na dzień, przyczem musiał on przywykać do znoszenia wszystkich upokorzeń, na jakie rosyjski czynownik bywa narażony, jeżeli chce stanąć kiedyś w szeregach biurokracji, rządzącej państwem i panującymi.

Próba, o której mowa, była taka: dyrektorowie różnych wydziałów przysyłali młodych kancelistów z papierami do podpisu gubernatora; wysłany miał polecenie przedkładać kolejno, numer po numerze na stół, przed siedzącym, z piórem w ręku, gubernatorem, papiery przysłane, ale to w taki sposób, ażeby, gdy gubernator skończył kłaść podpis na jednym papierze, drugi następujący już leżał przed nim, a miejsce na podpis jego musiało być zawsze położone na wysokości trzymanego pióra. Chodziło więc o tak zręczną manipulację, ażeby gubernator bez przesuwania ręki mógł podpisywać kolejno podawane papiery. Opóźnienie się tedy w odsunięciu podpisanego już papieru, lub zbyteczny pośpiech, wogóle jakikolwiek błąd, popełniony przy tak uroczystym akcie, wywoływały burze niezadowolenia, gromy połajań, tupanie nogami, a ostatecznie nawet wyrzucanie za drzwi nieszczęśliwych, lub niezręcznych, którzy śmieli niedogodzić satrapie; każdy z młodych kancelistów szedł jak na stracenie i pomimo, że się wpierw dobrze przygotował i wyuczył zręcznie przedkładać papiery, jednak drżał z powodu niepewności, czy mu się uda zadośćuczynić wymaganiom.

Taka próba udała się nadspodziewanie szczęśliwie Władysławowi, parę razy tylko podczas podpisywania podnosił Sinielników oczy na podającego mu papiery, wpatrywał się uparcie w twarz jego, lecz ani razu nie wybuchnął potokiem połajań brutalnych, a nawet kończąc akt podpisywania, gdy rzucił zwykłe zapytanie „Wsio?“ i na nie dostał odpowiedź sakramentalną „toczno taks“ — raczył wtedy ryknąć na pożegnanie „Praszczajtie“, a nie „praszczaj“. Takie powodzenie w karjerze kancelisty witali koledzy powinszowaniami i przepowiedniami, że co najmniej Kozłowski posiędzie z czasem urząd „Stołonaczalnika“, lecz powodzenie to nie wpłynęło na pozostanie Władysława w kancelarji dłużej, niż tego konieczność wymagała, bo skoro tylko nadeszło pozwolenie zapisywania się na inne wydziały w uniwersytecie, Kozłowski porzucił Żytomierz i udał się znowu do Kijowa, ażeby się zapisać na wydział literacko-historyczny. Tutaj kolegował z Marjanem Dubieckim, z Tretiakiem, zapoznał się bliżej z Aleksandrem

Czekanowskim, Konstantym Jelskim, Leonem Syroczyńskim, Zagórskim, Teleżyńskim, Amborskim i z wieloma innymi i wogóle brał czynny udział w życiu młodzieży, był lubiany i poważany przez kolegów. Po czteroletnich studjach, ciężkich z powodu braku środków do utrzymania, które zdobywać sobie musiał pracą nauczycielską, a ta znowu nie dawała nic więcej nad to, jak możność nie umierania z głodu. Władysław zdał egzamin ostateczny, a ponieważ wtedy pozwolono było nauczać po gimnazjach literatury i języka polskiego, podał się więc na nauczyciela tych przedmiotów i uzyskał posadę w Białej Cerkwi. Nie długo jednak mógł tam pozostawać, bo rok 63 zadał cios śmiertelny rzekomemu liberalizmowi rządu rosyjskiego, a gdy powiał wiatr przeciwny, skompromitowanym politycznie pozostawał wybór pomiędzy stryczkiem lub Syberją, a ucieczką z kraju. — Kozłowski wybrał tę ostatnią i brodząc w chłodną noc jesienną po nurtach Prutu, dostał się za granicę, a przez Konstantynopol do Paryża. Cały szereg lat spędzonych na obczyźnie, można nazwać szeregiem ciężkich lat niedostatku i niedoli, o nich tylko ten może mieć wyobrażenie dokładne, kto bez wszelkich środków z kraju odbieranych, przeżył lata całe na Zachodzie. Tem cięższemi być one musiały dla Kozłowskiego, że cierpienia oczne przeszkadzały mu w stałej pracy zawodowej, wogóle niepewność zdrowia jego odbierała mu możność zajęcia się systematycznie jakimkolwiek przedmiotem, bądź naukowym, bądź zawodowym, w ciągu całego życia.

Poświęcając dnie całe na pracę w biurze, gdzie zarabiał na utrzymanie, wieczorami oddawał się Kozłowski nauce, uczęszczał na wykłady do Collége de France i do Sorbonny i studjował pilnie filozofję, przyczem poznał dokładnie język angielski i język francuski.

Bawiąc w Paryżu, zapoznał się z emigrantami, świeżo przybyłymi i dawnymi, wszedł z wieloma z nich w bliższe, przyjacielskie stosunki i pomiędzy innymi z Bartoszewiczem, który założył później we Lwowie Księgarnię polską i był czynnym przy rozmaitych wydawnictwach, dla szerszego ogółu przeznaczonych, jak np. „Mrówka“ etc. Za namową znajomych i przyjaciół i przy ich pomocy, opuścił Kozłowski Paryż, wyruszył na wschód, zwiedził południową Słowiańszczyznę i następnie osiadł na stałe we Lwowie już od roku 1875 i raz tylko jeden wyjeżdżał na czas dłuższy do Krakowa, kilka miesięcy spędził w Szwajcarji i jeździł na czas jednej z wakacyj, na Litwę, w celu poznania ziemi Nowogródzkiej, a mianowicie Nowogródka, Switezi, Zaosia, Kołdyczewa, Tuhanowicz, Cyryna, Nieświeża, Lubcza, Szczors, Mira etc. etc.

We Lwowie zajmował się, o ile mu cierpienia oczne na to pozwalały, pracami w dziedzinie filozofji, dziennikarstwa i nauczania, należał do składu redakcji czasopisma „Ojczyzna“, pomieszczał artykuły treści filozoficznej w Ateneum, w Bibljotece warszawskiej, w Prawdzie, w Tygodniu etc. Dawał lekcje prywatne historji polskiej i literatury, logiki i psychologji. Zajmował się wychowaniem młodego Sobańskiego. Napisał logikę elementarną i psychologję dla szkół średnich, ta ostatnia jednak nie została ogłoszona drukiem, bo filozofowie, którym poruczono jej ocenę, znaleźli ją zbyt pozytywną i małozgodną z ich poglądami metafizycznymi. Może przyszłość dopiero wykaże tę dozę obskurantyzmu, który zamroczył umysły większej części filozofów naszego kraju i stał się przyczyną dziwnej stagnacji na polu filozofji, a to z powodu że jej adepci, wzięli za cel swoich badań nie rzeczywistość, lecz odgadywanie tego, co się dzieje poza nią, w krainie ich fantazji, w świecie zazmysłowym, dla rozumu ludzkiego niedostępnym.

Dopóki siła napadów chorobowych była mniejszą i czas trwania tych napadów krótszy, dotąd egzystencja Kozłowskiego, aczkolwiek bardzo skromna, była jeszcze możebną, ale w miarę wzmagania się i siły cierpienia i czasu jego trwania, wyczerpywały się zasoby pieniężne całkowicie, i były chwile w życiu jego prawdziwie rozpaczliwe, bo jakkolwiek dłonie przyjacielskie ze Lwowa i Tarnowa spieszyły z pomocą czynną, ale nie zawsze pomoc taka była wystarczającą, dopiero od chwili, gdy dzięki staraniom życzliwym prof. Małeckiego, udzieloną została Kozłowskiemu czwarta część stypendjum imienia Szajnochy i gdy następnie w skutek tychże starań mógł on zamieszkać w zakładzie fundacji Domsa, odtąd egzystencja jego zdawała się być zapewnioną. Początkowo polepszenie warunków bytu wpłynęło korzystnie na stan zdrowia i na moralne usposobienie Kozłowskiego i zdawało się, że wśród cichej i spokojnej pracy, otoczony życzliwością i opieką przyjaciół, znajdzie spoczynek i wytchnienie po ciężkich dniach stałego niedostatku, a często i nędzy.

Ale niedługo trwało polepszenie pozorne, wprędce potem znowu zaczął zapadać na zdrowiu, coraz częściej, coraz dłużej, aż od stycznia r. b., gdy choroba rozpoczęta zrazu cierpieniem oczu tylko, powoli zawładnęła całym organizmem, wtedy okazało się, że wyczerpywać się zaczął i zasób siły żywotnej Władysława, gasł on powoli i skonał 9. sierpnia, zachowując przytomność umysłu, aż do chwili zgonu.

Rozporządzenie swoje pośmiertne zostawił w rękach kuratorów zakładu Domsa, bibljotekę, na sporządzenie której poświęcał wszystką, jaką miał kiedy gotówkę, najczęściej z uszczerbkiem potrzeb życiowych, zapisał zakładowi narodowemu imienia Ossolińskich. (D. n.)

Dr. B. Dybowski.

Szkice z nad Niewiaży.

2)

Oczywiście już mroczny duch mistycyzmu i reakcji zaczął opanowywać Aleksandra, który w tym czasie ulegał wpływom autorki Walerji, p. Krüdenerowej, wpływom mistycznym. Około tego czasu też władze odmówiły wykonania kilku testamentów, którymi zmarli właściciele uwolnili swych włościan od poddaństwa, obdarowując ziemię; wywołało to powszechne zdumienie, ale znalazł się nakaz z góry.*) Oczywiście — prądy reakcyjne wzmagały się: wkrótce w Rosji wydały one swe skutki zgubne: Runicza i Magnickiego, znakomitych prześladowców młodzieży akademickiej.

W kilka lat potem pogrom spadł i na wszechnicę wileńską, i na kilka szkół średnich, zwłaszcza na gimnazjum w Krożach... Nowosilcow zamianowany prezesem komisji, mającej zbadać potajemne stowarzyszenia młodzieży nie istniejące faktycznie, uwięził w Wilnie kilkuset akademików i studentów oraz dużo osób prywatnych; pomagali mu niecnej pamięci dr. Pelikan i inni. Wspominam o tym fakcie, bo był to pretekst do obniżenia poziomu wykładów akademickich tudzież do znacznego obniżenia i pewnej zmiany ku gorszemu w szkołach średnich. O rozgromie wszechnicy wileńskiej zamilknę, boć to rzecz dobrze znana; w szkołach średnich spotęgowano wykłady języka rosyjskiego, który już od ustawy z r. 1803 był przedmiotem obowiązującym; od r. 1814 nauczycielami tego przedmiotu, stosownie do rozkazu ministra oświaty, byli tylko prawdziwi Rosjanie. Usunięto ze szkół dawne podręczniki, uznając je za szkodliwe i zastępując je nowymi, o wiele gorszymi. W r. 1824 nakazano władzom szkolnym prowadzić korespondencję z ministerstwem w języku rosyjskim. Wogóle jednak za Aleksandra I. nie próbowano jeszcze rusyfikować szkoły; było to dziełem jego następcy, jego brata Mikołaja. Już przed powstaniem Mikołaj zwrócił baczną uwagę na szkoły, utrzymywane przez zakony: już 10. marca (26. lutego) 1827 r. nakazał on do wszystkich szkół duchownych zamianować dyrektorami Rosjan prawdziwych.

Już za rządów Aleksandra widzimy systematyczne znoszenie wszelkiej odrębności polityczno-społecznej, ale tylko bardzo słabe próby zniesienia kulturalno-cywilizacyjnej; wówczas narzucano nam państwowość rosyjską, lecz nie kulturę i umysłowość, ale za Mikołaja I. zmienia się wszystko: samowładca chce nas zrobić wiernymi poddanymi, ślepo mu uległymi, zatem chce pozbawić nas przeszłości historycznej, tradycji, kultury i cywilizacji zachodniej, którą przyswoiliśmy sobie lubo łaskawie pozostawiał nam wiarę i język w stosunkach domowych. Powstanie było tylko pretekstem. Walka na Żmudzi była ciężka i krwawa.

Masy ludu uczestniczyły w niej, nie zaś tylko jedna szlachta... Ludowi powstańcy żmudzcy, głównie Grużewski i Staniewicz, ogłosili zniesienie poddaństwa, lud wziął się do broni, by je wywalczyć... Duchowieństwo katolickie też, roznieciło wśród mas zapał religijny, wskazując na niebezpieczeństwo, grożące katolicyzmowi. Powstanie rozpoczęło się napadem na Rosienie pod dowództwem Grużewskiego po nabożeństwie i złożeniu przysięgi w zborze kielmeńskim. Przebieg tej walki znany jest dobrze: we wrześniu 1831 r. powstanie już upadło. Zemsta caratu była straszną, ale mniej dotknęła Żmudź niż Litwę; dlaczego? To samo powtórzyło się i w 1864 r., prawdopodobnie dlatego, że nie chciano lud doprowadzać do ostateczności, a tu jest on jednolity i ściśle litewski, oprócz kilkudziesięciu tysięcy chłopów, mówiących po polsku.

W Petersburgu postanowiono uniemożliwić na przyszłość powstanie; w tym celu postanowiono osłabić lub zniszczyć, jeśli się uda, katolicyzm i polonizm, które w umyśle Mikołaja zlewały się ściśle razem. Rozpoczął się szereg reform których cel wskazałem powyżej: przedewszystkiem skasowano dużo klasztorów męzkich i kościołów, wbroniono zakonnikom utrzymywania szkół,*) zwłaszcza ks. Pijarom, zniesiono artykuł statutu, orzekający, w razie małżeństwa mieszanego wolność rodzicom wychowania swego potomstwa bądź w wierze ojca, bądź matki, lub w braku zgody, — chłopców w wierze ojcowskiej, córki, w matczynej. W zamian tego artykułu postanowiono: w razie jeśli jeden z współ małżonków jest prawosławny, to ślub winien odbyć się koniecznie w cerkwi (warunek nieodzowny jego prawości), a dzieci winne być wychowane w wierze prawosławnej. Ustanowiono też cały szereg ograniczeń policyjnych dla duchowieństwa katolickiego; w przyszłości zapowiedziano konfiskatę dóbr ziemskich, należących doń, wszakże za pewnem wynagrodzeniem. Trzeba było kilka lat czasu, nim projekt ów dojrzał: w r. 1840 skonfiskowano dobra poduchowne, zamieniając je na skarbowe, a wyznaczając duchowieństwu wypłaty ze skarbu, acz bardzo nieodpowiednie wysokości

*) Np. hr. Chreptowicz, Brzostowski, Cywiński i inni uwolnili testamentami swoich poddanych, obdarowując ich ziemią; spadkobiercy nie mogli wykonać tych rozporządzeń, bo rząd odmówił ich zatwierdzenie.

*) Wyjątek stanowili OO. Bernardyni, którzy w Rosieniach utrzymywali szkołę powiatową do r. 1843.

dochodów, pobieranych uprzednio,*) nadano każdemu kościołowi parafjalnemu po 36, 5 hektarów gruntów, ale w rzeczywistości norma zwykła o wiele przekroczyła nakazaną przez prawo. Biskup żmudzki miał około tego czasu kilkadziesiąt tysięcy rubli dochodu rocznego, za który mu rząd wypłaca corocznie po 8000 rub. Tu też należy skreślić słów parę o zniesieniu Unji, słów parę mówię, bo rzeczywiście w obrębie całej Żmudzi nie było ani jednej parafji unickiej, a w całej dzisiejszej gubernji kowieńskiej, tylko 3 małe parafijki w pow. Nowo-Aleksandryjskim, dawniej Brasławskim, mianowicie w Kosaczyźnie, Wiesiołowie i Wenusowie. Leżą one w tym zakątku powiatu południowo-wschodnim, który geograficznie i etnograficznie należy już do Rusi Białej. W r. 1840 nakazano wprowadzić język rosyjski do ksiąg metrycznych i wogóle kościelnych, Akademję duchowną (fakultet teologiczny) przeniesiono z Wilna do Petersburga, ograniczając do minimum liczbę alumnów i obcinając wykłady, wówczas też rozciągnięto nadzór nad temi seminarjami duchownemi i ogromnie obniżono poziom wykładów, usuwając wykłady historji i literatury polskiej oraz kilku innych przedmiotów. W tym też roku niemal formalnie oddano księży katolickich pod nadzór policji.

Uprzedni system szkolny, oparty na zasadach ustawy komisji edukacyjnej i tradycjach polskich został uznany za jeden z głównych czynników, które wywołały powstanie zbrojne, ponieważ szkolnictwo było polskie, przeto postawiono go zgnieść do szczętu. Już 16. (4) kwietnia 1831 r. Mikołaj rozkazał, by minister oświaty zamykał powoli szkoły duchowne katolickie oraz obmyślił sposoby i środki zastąpienia języka polskiego jako wykładowego rosyjskim, a działo się to w tej chwili, gdy wojska rosyjskie wszędzie ustępowały, cofając się!

Już 28. (16.) lutego 1832 r. wszechnica wileńska została zniesioną; pozostały tylko dwa jej fakultety teologiczny i lekarski. jako osobne akademje; przetrwały one do r. 1840, w tym czasie akademję duchowną przeniesiono do Petersburga lekarską zaś, na wniosek niecnej pamięci jej rektora, dr. Pelikana, zniesiono. Zaraz po powstaniu zniesiono 3 gimnazja, w Poniewieżu ks. Pijarów, w Chwałojniach ks. Karmelitów i w Kiejdanach tz. Radziwiłłowskie, utrzymywane przez duchowieństwo ewangielicko-reformowane, pozostało tylko jedno gimnazjum akademickie w Krożach. Pośpieszono czem prędzej skasować szkoły dawne i wprowadzić ogólną ustawę szkolną w zamian ustawy z dnia 30. (18.) maja 1803 r.; już 19. (7.) lipca 1832 r. zapadło prawo, nakazujące wprowadzenie ogólnej ustawy szkolnej z r. 1828 wraz z wykładowym językiem rosyjskim a zupełnem wykluczeniem polskiego. W roku następnym minister oświaty nakazał, by tylko ci gimnazjaliści otrzymywali prawo wstępu do uniwersytetów lub rangę, którzy udowodnią dokładną znajomość języka i literatury rosyjskiej. W zamian zwiniętych szkół otwarto tz. pięcioklasowe szkoły szlacheckie w Kownie, Wiłkomierzu, Poniewieżu, Szawlach i Kiejdanach. Dyrektorami zostali tylko Rosjanie prawdziwi, nasłano też dużo nauczycieli Rosjan. Nauczyciel języka rosyjskiego, który stał się przedmiotem pierwszym, został nauczycielem pierwszym, starszym, pobierał on gażę wyższą niż inni. Dawny rozumny i ludzki sposób nauczania i postępowania znikł doszczętnie, zamiast miłości i szacunku, któremi dawniej młodzież otaczała swoich nauczycieli, postarano się wzbudzić obawę i strach grozą chłosty, która wówczas stała się alfą i omegą rosyjskich czynowników nauczycieli. O jednym z nich, dyrektorze szkoły szlacheckiej w Poniewieżu zachowało się podanie, że często zwykł był mawiać: »Pan Bóg już postarzał, przeto cesarz Mikołaj wkrótce zajmie jego miejsce!« Był to też sławny pijak, ale zresztą zaletę tę posiadali prawie wszyscy ówcześni nauczyciele rosyjscy.

Rozumie się — za pieniądze w sprawach szkolnych można było wszystko zrobić: sprzedajność i przekupstwo pp. dyrektorów i profesorów nie znały granic. Szkoły ludowe, parafialne, o ile istniały one, unikły rozgromu, albowiem poprostu nie zwrócono na nie uwagi; dopiero w kilka lat później, gdy zaprowadzono u nas instytucję ministerstwa dóbr państwa, wówczas minister głośny hr. Kisielow, kazał w dobrach państwowych zakładać dla włościan szkółki ludowe wedle ustawy z dnia 1. kwietnia (20. marca) 1843 r.; ustawa ta poruczyła nauczanie duchownym prawosławnym, a w ich zastępstwie djakom i psałterzystom, ale tego przepisu nie można było zastosować u nas, przeto nauczycielami ludowymi zostali ludzie bez czci i wiary, wyrzutki społeczne, byle tylko Rosjanie i prawosławni. Celem nauczania była znajomość języka rosyjskiego, oraz rachunków.

(D. c. n.)

J. Syrokomla.

---

*) Do biskupów żmudzkich należały następne dobra ziemskie: Wornie, Janopol, Olsiady, Kalwarja, Masiady, Lepławce, Kołtyniany, Widukle, Erżwiłki, Girtakole, Ejragoła, Surwiliszki, i Poszwityń, w których liczono 4500 poddanych mężczyzn i przeszło 50000 dies. ziemi; roczny dochód wynosił około 35000 rub.; prócz tego należało do nich 13 miasteczek oraz kilkadziesiąt młynów i karczem. Wogóle około r. 1840 biskup żmudzki miał dochodu rocznego około 75000 rub.

WSPOMNIENIE.

Miałem raz chwilę i już nie wiem, gdzie się
Podziała... Śpiewy mię w ugor zawiodły.
Zachód był. Owce swawolnie się bodły
I czyste dzwonki dzwoniły po lesie...

Nagle mię owiał dreszcz... Uczułem, że się
Coś w mojej duszy budzi — jakieś modły,
Coś, jak daleki szum rozchwianej jodły...
Coś, co się czuje w dali i w bezkresie...

Było to jakieś czystych uczuć łkanie,
Płacz i modlitwa pierwsza, najgorętsza,
Nieba całego w mej duszy wezbranie —

Chwila ze wszystkich chwil życia naświętsza.
O jaki straszny żal! gdy wspomnę i gdy
Pomyślę, że już nie powróci nigdy...

Władysław Orkan.

5)

Gdy lipy kwitły.

Wala patrzyła na to wszystko i nieraz modre jej oczy, przejrzyste jak kryształ, otwierały się szeroko i pytające spojrzenia kierowała na twarz brata lub Warenicza. Lecz ci widocznie tych niemych pytań nie rozumieli i dziewczyna w zamyśleniu opuszczała czarne rzęsy i stawała się wciąż cichsza i chłodniejsza.

Od pierwszego wieczoru, od pierwszej niemal chwili między nią i Gromskim wyrósł jakiś mur lodu, który ona starannie w stanie zamarzania utrzymywała. Unikała wszelkiego z nim zbliżenia się, wszelkiej żywszej rozmowy, chwilowego chociaż sam na sam; powiedziała sobie: karjerowicz, filister i jak od obcego odsunęła się daleko, bojąc się przytem śmiertelnie, aby jakiś podmuch, jakieś jedno nic wspomnień dawnych nie nasunęło. Bała się, aby nie pomyślał, raczej, aby się nie domyślił, iż one żyją w jej sercu.

Siostry z przerażeniem coraz wzrastającem patrzały na zachowanie się Wali; widziały nieraz jej niemy niepokój, domyślały się iż coś nie tak jak trzeba snuje się w myślach dziewczyny i parę razy probowały otwarcie z nią o tem pomówić. Ale Wala przystępu do siebie nie dała; na pierwsze słowa porwała się cała w płomieniach i z niezwykłem u niej rozdrażnieniem zawołała:

— Nie chcę, nie chcę! Co to może kogo obchodzić? Dajcie mi spokój! i z pełnemi łez oczyma wybiegła z pokoju, zostawiając siostry zdumione i zaniepokojone.

A potem znów patrzała i słuchała i w myśli swojej znaki zapytania kładła, kimże jest nareszcie ten karjerowicz i ten filister, co tak szczerze młodym być umie i tak żywe echa ma w duszy dla wszystkiego co wysokie i piękne?

Tak przeszło kilka tygodni bez żadnej widocznej zmiany wśród stosunków Ostroszczyckiego grona.

Aż raz z jednej wycieczki wróciła Wala ogromnie smutna i tak chorobliwie wyglądająca, że aż siostra spotkawszy ją w korytarzu wykrzyknęła strwożona.

— Mój Boże, Walu, czy ci niedobrze? Jak ty wyglądasz!

Na białej twarzy Wali, zeszczuplałej nagle, świeciły tylko oczy okrążone głębokim cieniem.

— Głowa mnie boli, — odparła z głębokiem westchnieniem obie ręce podnosząc do skroni.

— Połóż się natychmiast, rozepnij stanik; ja ci zaraz herbaty przyniosę. Te długie wycieczki to do niczego. Słabszą jesteś od innych, nie możesz ich przenosić.

Wala skinęła głową w milczeniu i weszła do swego pokoju drzwi za sobą zamykając starannie.

Nie usłuchała jednak rady siostry, nie położyła się do łóżka, a tylko zdjąwszy z siebie su-

knię, okno otwarła i siadła w niem, zapatrzona w ciemniejącą głąb gęstego ogrodu.

— Ach, bezwątpienia — zawołała w duchu rozpaloną głowę wspierając o ramę okna — jestem najniedorzeczniejsza, jestem szalona, jestem zupełnie głupia — ale to tak boli, tak boli!

Chciałaby płakać, ręce łamać, rzucić się w czyjeś współczujące objęcie i skarżyć się, że dzieje jej się krzywda, wielka krzwda...

Przez cały ciąg długiej wycieczki była tak wesołą jak dawno jej nie widziano. Nikt jednak nie spostrzegł, że ten śmiech, to bieganie, te wesołe żarty, były tylko robioną grą, która ją strasznych wysiłków kosztowała, grą, którą cały wieczór prowadziła, bawiąc całe towarzystwo, aby broń Boże nikt się nie domyślił jaki niepokój ją ogarnia i jak jej smutno, że chciałaby uciec kędyś w kąt najcichszy i płakać, i płakać...

Nie płakała jednak i teraz, chociaż była zupełnie samotna a łzy gwałtownie do oczu się cisnęły. Wstrzymała je mocą obrażonej dumy niewieściej, która wzbierała w jej piersi nie mniejsza od bolu.

— Płakać nie będę, nie będę... szeptała przez zaciśnięte zęby i wstrząsała głową, jakby przeczyć czemuś pragnęła.

Wejście siostry przerwało na chwilę jej gorzkie myśli.

— Nie położyłaś się jeszcze, dziecinko? Przyniosłam ci herbatę. Nie wychodź już dziś do nas, tam tak hałasują; tu będzie ci lepiej.

Wala podniosła na siostrę pytające, niespokojne spojrzenie.

— Co chcesz moje dziecko?

— Czy Frania jest tam także? Czy... czy się bawi?

Siostra ścisnęła ramionami z uśmiechem.

— Ta dokazuje najwięcej. Coś się jej dziś stało? Zdaje mi się, że nawet już tego za wiele. Chcesz? przyszlę ją do ciebie.

— O nie, nie chcę! — zawołała Wala — niech się bawi, nie trzeba mi nikogo.

Powiedziała to tak smutnie, iż siostra zbliżyła się ze współczuciem, objęła ją ramieniem i macierzyńsko niemal w głowę ucałowała.

— Dobranoc Waluniu, dobranoc, dziecko moje...

Wyjęła jeszcze szpilki z jej warkoczy aby nie ciężyły na głowie, pogłaskała, jak biedne dziecko i ucałowawszy raz jeszcze wyszła z pokoju.

Wala po odejściu siostry usiadła znów w otwartem oknie i dalej snuła swe gorzkie myśli. A noc tymczasem zapadała; drzewa i krzewy ogrodu, otulone coraz gęstszą ciemnością, zdawały się zlewać w jedno, wyrastać jakoś olbrzymio i zamykać sobą jakąś tajemniczą głąb czarną, nieznaną. Kilka gwiazd błysnęło na pociemniałem niebie wprost okna. Wala wciąż siedziała u okna, biała jak płatek kwiatu z odsłoniętemi ramionami i szyją, z palcami na kolanach splecionemi. Lekki podmuch wieczorny, kiedy niekiedy szepcący coś w liściach, przelatywał nad jej głową, poruszał lekkie pierścionki włosów na skroni i ginął w grubych warkoczach ciężkiemi splotami spadających na jej ramiona.

Była już późna godzina, kiedy drzwi skrzypnęły cichutko i weszła Frania. Sypiały razem i widać oddano już dobranoc, kiedy wróciła do ich pokoiku.

— Nie śpisz jeszcze? — spytała Frania.

Wala, spostrzegłszy ją, drgnęła, nic jednak nie odrzekła.

— Głowa bardzo cię boli? Szkoda, że z nami nie byłaś; było tak wesoło! Wiesz? ten Gromski...

Chodziła po pokoju zrzucając suknie, poszukując kaftanika i pantofli, a czyniąc to nie przestawała opowiadać, śmiać się i pytać. Była w stanie niezwykłego podniecenia.

Wreszcie uparte milczenie przyjaciółki zaniepokoiło ją.

— Walu! — zawołała, nieskończywszy jakiegoś frazesu — Walu!

— Co chcesz? — odrzekła Wala chłodno.

Frania onieśmielona nieco zbliżyła się do niej zwolna.

— Walko, — rzekła ciszej — czy ty się gniewasz na mnie? — Stanęła przy niej, ramieniem ją objęła i szeptać poczęła.

— Wszakże ty go nie lubisz? przysięgam ci, ja niewinna...

Ja tylko patrzałam; ale nie, nawet nie patrzałam tak bardzo... a i on...

Na to tajemnicze wyznanie Wala skoczyła z okna odbiegła od niej i w mocnem rozdrażnieniu zawołała:

— Po co mówisz mnie to wszystko? Cóż to mnie może obchodzić? Ja nie chcę tego słyszeć! Możecie sobie robić co się wam podoba.

— Walu, Walu... wołała z cicha, strwożona nie na żarty Frania.

Ale Wala wołała dalej:

— Ja widzę dobrze, co się dzieje, podobasz się jemu i jestem z tego rada. Tobie także on podobał się od pierwszej chwili. Tem lepiej. Ale ja o tem słyszeć nie chcę — nie chcę! — I masz słuszność, ja go nie lubię i nie polubię nigdy, przenigdy!

Mówiąc to, śpiesznie rozbierać się zaczęła i za chwilę leżała już w łóżku, zasłonięta kapą po oczy, ze ściśniętemi zębami, z twarzą pałającą.

Frania przycichła zrazu i poszła spać także, lecz po długich chwilach milczenia, wyskoczyła ze swego łóżka i przybiegła do Wali.

— Waluniu! droga moja... szepnęła obejmując ją ramionami. Co ci się zdaje? alboż to wszystko na prawdę? Uspokój się to tylko leciuchny flirt, przysięgam ci. Jak ty go nie rozumiesz? Czy myślisz, że on się we mnie kocha rzeczywiście? Ale gdzież tam... kiedy ci mówię

że nie, to nie. Znam się na tych rzeczach, możesz mi wierzyć. A przecież ciebie oszukiwać nie będę...

Wala pomyślała, iż Frania rzeczywiście zna się dobrze na wszystkiem, co dotyczy spraw amora, i że można jej w zupełności uwierzyć. Lecz po cóż z nim flirtuje? Po cóż ona tak łatwo daje się wciągnąć w tę zabawę, która jemu w żadnym razie — o, wcale zaszczytu nie przynosi. Na słowa więc przyjaciółki głowę podniosła i jeszcze w rozdrażnieniu zawołała:

— Wiem, że jest blagier, wielkoświatowiec, pusty człowiek... Możesz z nim flirtować, ile ci się podoba. Odwróciła głowę i twarz wcisnęła w poduszki.

Lecz Frania nie dała za wygranę. Przycisnęła się do niej, szyję jej objęła i podnosząc się na łokciu szeptać jej poczęła do ucha: Nie ma potrzeby tak gniewać się, ani tak smucić, bo Gromski wcale nie taki, bo chybaż wcale go nie zna, jeśli sądzić może, że on tak łatwo się podda przelotnemu uczuciu, nie uczuciu a poprostu dziecinnej zabawie...

Oho, — zakończyła — Gromski kiedy pokocha, to będzie płonąć jak stos, zobaczysz! Mnie się nawet zdaje, że on już ciebie kocha, a tylko boi się, bo jesteś taka zimna dla niego, a on przecie straszliwie dumny. Ale widziałam, jak patrzy na ciebie jak na cud jaki, i oczu oderwać nie może, a potem jak go złowić na tem, to czerwieni się jak żak.

Czy ten szept, czy późna godzina, sprawiły, że Wala uspakajać się zaczęła i wkrótce szepty przyjaciółek tem się zakończyły, że już się nie rozsiały, a przytulone jedna do drugiej z rękami oplatającemi wspólnie ramiona zasnęły snem lekkim. Wali sny nie musiały być gnębiące, bo spokój błogi rysy jej wygładził zupełnie.

* * *

Gromski tymczasem, który sypiał obok jadalnego pokoju, doczekał aż światła w domu pogaszono i wysunął się z cicha na werandę podumać trochę w samotności. Sen go dziś odleciał, a czas był piękny; niezrównanym, dawnym czarem tchnęła noc lipcowa na ojczystej ziemi. Z mrocznego ogrodu biły wonie kwiatów, z pobliskiego lasu płynął orzeźwiający powiew żywicy; cisza była zupełna, nawet żaden ptak nocny się nie poruszył, ani żaden z podwórzowych psów się nie odezwał; gwiazdy wielkie, skrzące patrzyły z wysokich niebios, zaglądały w samą głąb jego duszy i budziły głosy, których we dnie nie słyszał.

Było mu ogromnie błogo na rodzinnej glebie i dziwił się sam sobie, jak mu tęsknota po niej duszy nie wyżarła, jak mógł żyć lat kilka z myślą kędy indziej zwróconą, z celem przed oczyma innym. Czuł się tu tak swojsko, tak zdrowo dusznem zdrowiem, jak nigdzie, a jestże coś milszego nad to poczucie wewnętrznego zdrowia i zadowolenia? W takich warunkach skromny chociaż kawałek chleba, byłby pożywniejszym, niż tam ten dostatek, który mu przez ręce Bóg wie na co płynie. Majaczyć mu w myśli poczęła ojcowska chata ze słomianą strzechą i praca ojca, chleb powszedni z twardej dobywająca ziemi, i matki pieśni stare, przy kądzieli nucone; a potem inne głosy, inne pieśni, które młodość jego bujną kołysały.

(D. c. n.)

Wanda Dalecka.

Błędy językowe.

Dwa razy tak wielki, jak..., trzy razy tak daleko, jak..., cztery razy tak mocny, jak... i t. p. zwroty są giermanizmami, które coraz częściej na widowni dziennikarstwa naszego się ukazują. Pochodzą one z dosłownego tłumaczenia wyrażeń niemieckich: *zweimal so gross, dreimal so weit, viermal so stark* i t. p. Po polsku należy mówić: dwa razy większy od.., trzy razy dalej, niż..., cztery razy mocniejszy od..., albo niż...

Z pism i książek.

Zeszyt IV. „*Słownika języka polskiego*", o którym już pisaliśmy, zawiera w 10-ciu arkuszach część litery D. (Doc.—Dziej). Redakcja „Słownika" ogłasza, że po wyjściu zeszytu VI., t. j. po ukończeniu tomu I., cena prenumeracyjna tego wydawnictwa będzie w dwójnasób podniesioną. Kto więc nie uczynił tego dotychczas, niechaj pospieszy opłacić „Słownik" teraz.

Księga dla wszystkich. Nakładem Jadwigi Cichcińskiej. Warszawa 1899.

Książka ta, przeznaczona dla warstw ludowych usiłuje objąć wszystkie sfery życia. Systemu w układzie artykułów dopatrzeć trudno, ale wśród chaotycznej ich masy, znajduje się niejeden artykuł, budzący zainteresowanie. Mamy tu ustępy pióra Prusa, Konopnickiej, oraz wybitnych pisarzy ludowych.

Z „Drukarni Udziałowej" we Lwowie, ul. Lindego 8.